



IV Festiwal Katolickiej Nauki Społecznej

Zjednoczona, ale nie solidarna – czy to koniec Unii Europejskiej? Debata ekspercka podczas IV Festiwalu Katolickiej Nauki Społecznej

Warszawa, 18 września 2020 r.

Red. Łukasz Warzecha¹: Ktoś mógłby zadać sobie pytanie, dlaczego będziemy rozmawiać podczas Festiwalu Katolickiej Nauki Społecznej o Unii Europejskiej, ale myślę, że wypowiedź ks. abp. Stanisława Gądeckiego², dobrze to wyjaśnia. Katolicka nauka społeczna i chrześcijaństwo to również nauka o kwestiach społecznych, czyli o wspólnocie, a Unia Europejska jest oczywiście formą zorganizowania wspólnoty, na bardzo wysokim poziomie, ale jednak. W dodatku jest formą zorganizowania wspólnoty, która wpływa na nasze codzienne życie, również w aspektach światopoglądowych, bardzo osobistych dla nas. Z tego punktu widzenia temat jest absolutnie istotny. Jest sformułowany trochę eschatologicznie, bo „koniec Unii Europejskiej” brzmi tak, jakby już miało się to wszystko zaważyć. Pojawiający się znak zapytania jest ostrożnością, która często pojawia się w mediach – tytuły formułuje się ze znakiem zapytania, żeby nikt nie pomyślał, że tezy są bardzo ostateczne. Jeśli zastanowić się, przez jakie perturbacje Unia Europejska w ostatnich latach przechodziła

¹ Łukasz Warzecha, dziennikarz, publicysta, komentator polityczny. Publikuje w dzienniku „Rzeczpospolita”, „Fakt” oraz tygodniku „Do Rzeczy”, moderator debaty.

² Odwołanie do filmu ze słowem od abp. Stanisława Gądeckiego do uczestników IV Festiwalu Katolickiej Nauki Społecznej <<https://youtu.be/L3lnX9pNW-k>>.

i przez jakie przechodzi teraz, możemy zacząć sobie zadawać to pytanie, może nie w tym sensie, że Unia za chwilę się zawali, ale może być też tak, jak było z potężnymi państwami w przeszłości, jak było z Cesarstwem zachodniorzymskim, że formalnie coś istnieje, ale praktycznie już nie. Na to pytanie, mam nadzieję, szanowni Dyskutanci odpowiedzą. Rzeczywiście, ważne jest też to, że spotykamy się w czasie epidemicznym, bo od tego chciałbym zacząć dyskusję. Kwestia odpowiedzi Unii Europejskiej na epidemię była jednym z argumentów, które wiosną tego roku zaczęły pojawiać się jako zarzut wobec Unii, jako dowód, że Unia nie tylko nie potrafi być solidarna, ale mało tego – nie ma mechanizmu, który by w obliczu autentycznego zagrożenia, namacalnego problemu, którym okazała się pandemia, pozwolił jej działać wspólnie. A jeśli nie ma takiego mechanizmu w sytuacji, bądź co bądź, tylko choroby, to co z sytuacjami poważniejszymi, np. groźby militarnej? Dlatego pierwsze pytanie, które chciałbym do Panów skierować, brzmi: czy uważają Panowie, że sytuacja z wiosny, czyli można powiedzieć: niemoc – chyba że Panowie uważają inaczej – Unii Europejskiej, jeśli chodzi o odpowiedź na epidemię, niemoc, którą szybko próbowano przykrywać jakimiś PR-owymi gestami (pojawiły się nawet grafiki o tym, co Unia Europejska robi, produkowane przez Komisję Europejską, żeby tylko ten kryzys wizerunkowy zażegnać, co sprawiało wrażenie, przynajmniej na mnie, głębokiej desperacji, żeby tylko nie powstało wrażenie w obywatelach Unii Europejskiej, że jest ona niepotrzebna w tej sytuacji), była spowodowana wyjątkowo niekorzystną, jednorazową konfiguracją okoliczności, czy rzeczywiście jest to objaw głębszego kryzysu, a może zjawisko immanentne dla Unii Europejskiej, tylko po prostu pojawiły się okoliczności, w których wyjątkowo się ono objawiło?

Prof. Tomasz Grosse³: Wszyscy skupili się na pytaniu, czy to rzeczywiście była niemoc Unii, czy też coś,

³ Prof. dr hab. Tomasz Grosse, socjolog, politolog i historyk, wykładowca i pracownik Katedry Polityki Unii Europejskiej Uniwersytetu Warszawskiego.



co jest usprawiedliwione podziałem kompetencji między Unię Europejską a państwa członkowskie. Przedstawię swoją odpowiedź bardziej w kontekście tematu solidarności europejskiej, ponieważ możemy powiedzieć, że ta solidarność może być w różny sposób organizowana, a to ma bezpośrednie odniesienie do wizji organizacyjnej Unii Europejskiej, czy ta Unia ma być scentralizowana, czy ma być pomocnicza. Czy solidarność jest w związku z tym realizowana poprzez nakazy, przez wymuszanie poprzez prawo, wymuszanie poprzez sankcje finansowe, poprzez narzucanie ideologii, która ma scalać ten projekt międzynarodowy, czy też Unia jest organizowana bardziej subsydiarnie, w sposób zdecentralizowany? W tym drugim modelu Komisja Europejska ma np. funkcję pomocniczą wobec państw członkowskich, szanuje podmiotowość państw członkowskich, jest tolerancyjna wobec wyborów demokracji narodowej, jest w związku z tym tolerancyjna wobec wyborów ideologicznych. W takim modelu solidarność jest traktowana nie w sposób nakazowy i przymusowy, ale w sposób dobrowolny i jeśli w ogóle sięgamy do definicji, czym jest solidarność, osobiście nigdy nie spotkałem się z definicją solidarności przymusowej. To tak, jakby ktoś był zmuszany przez przepisy lub sankcje do tego, aby kochać bliźniego. Wydaje mi się, że zarówno uczucie solidarności, jak i miłości w swoim rdzeniu polega na dobrowolnym akcie okazywania pomocy – w przypadku solidarności lub uczuć, jeśli chodzi o miłość. Tak czy inaczej, wymuszanie stoi w moim odczuciu w sprzeczności z pojęciem solidarności.

Wracając do istoty, mamy dwa modele: model scentralizowany, wymuszający solidarność, i model subsydiarny Unii pomocniczej wobec państw członkowskich, który jest de facto modelem solidarności dobrowolnej. Tej solidarności, która wynika z ram demokracji narodowej i wyborów tejże demokracji, również aksjologicznej, gdzie solidarność jest okazywana na zasadzie przyjaźni pomiędzy państwami członkowskimi, a nie dyktatu płynącego z Brukseli, Berlina albo Paryża.

I teraz ostatnie zdanie dotyczące głównego pytania. Jeżeli pojmujemy Europę jako organizm scentralizowany, to oczywiście okazała ona niemoc dlatego, że ten organizm nie ma takich kompetencji na poziomie centralnym, aby odpowiadać skutecznie na pandemię, choćby z tego powodu, że kwestie ochrony zdrowia i kryzysów zdrowotnych to są kompetencje państw członkowskich. Unia Europejska natomiast może być subsydiarna, może pomagać państwom członkowskim np. przesyłając brakujące maseczki albo inny sprzęt medyczny – to nie wyklucza tego drugiego modelu. W orędziu o stanie Unii z 2020 roku pani przewodnicząca Ursula von der Leyen powiedziała wyrażnie: my opowiadamy się za modelem scentralizowanym, chcielibyśmy, aby kompetencje w zakresie służby zdrowia przesunięto z poziomu narodowego na poziom europejski. Chcemy budować kolejne agencje europejskie, które będą pełnić nie de facto funkcję subsydiarną, pomocniczą, będą raczej monitorować i kontrolować państwa członkowskie oraz wymuszać współpracę między narodami. Tylko zasadnicze pytanie – czy taki model solidarności wymuszanej przez agencje europejskie, prawo i sankcje finansowe to jest jeszcze model przyjaźni i solidarności między państwami, który w swojej istocie powinien być dobrowolny. Wydaje mi się, że istota rzeczy polega na tym, że dyskutujemy o dwóch modelach przyszłości integracji europejskiej, a ten, który jest realizowany, niestety, oddala nas od przyjaźni między narodami w kierunku animozji i różnego rodzaju sporów.

Red. Łukasz Warzecha: Bardzo lubię takie głosy na początku dyskusji, które wprowadzają kilka niezwykle interesujących wątków. Ten wątek dobrowolności solidarności wydaje mi się szczególnie istotny i również to, o czym Pan powiedział, że rzeczywiście były głosy obrońców Unii Europejskiej jako instytucji zdziwione tym, czego my oczekujemy, skoro nie przekazano Unii takich kompetencji, które pozwoliłyby jej skutecznie działać. Zanim oddam głos panu Michałowi Drozdkowi, chciałbym zapytać: czy to nie jest tak, że państwa Unii skupiły się w pierwszym



odruchu na obronie własnych obywateli? Nie jest to właśnie zdrowy odruch pokazujący, że „najbliższa ciąu koszula”? Nie da się wymusić tego, abyśmy o wszystkich myśleli tak samo, bo tak, jak naturalnym odruchem człowieka jest obrona członków własnej rodziny, a dopiero potem innych, tak samo naturalnym odruchem państwa jest obrona przede wszystkim własnych obywateli. Można, oczywiście, dodać do tego pytanie, które pojawiło się w wypowiedzi profesora Grosse: czy Unii jako instytucji uda się wymusić na państwach to, żeby kochały innych?

Michał Drozdek⁴: Wczoraj odbyłem dyskusję z mądrymi ludźmi z branży zarządzania na temat sukcesu menedżerskiego i tam pojawił się problem, czy większy sukces daje jeden model skrajny, czy drugi? Czy powinniśmy zmierzać do rządu autorytarnego, dyktatorskiego, który wywołuje błyskawiczne reakcje, skuteczne działania, czy do czegoś, co francuski myśliciel Laloux⁵ nazwał organizacjami turkusowymi, czyli takimi, w których w zasadzie nie ma struktury władzy. Sukcesy są powodowane pracą zespołów, wysiłkiem wspólnoty, a decyzje podejmuje ten, kto sprawą się zajmuje. Zwolennicy teorii autorytarnej natychmiast odpowiedzą, że gdyby Piłsudski nie zaprowadził rządów autorytarnych nad armią w czasie wojny z Sowiecami w 1920 roku, a panowałyby tam „turkusowe obyczaje”, to ani chybi byśmy przegrali. I mają rację. Z drugiej strony, zwolennicy turkusowych organizacji pokażą wyniki badań rynkowych, z których wynika, że organizacje turkusowe, nieposiadające sformalizowanego kierownictwa albo posiadające go w wymiarze symbolicznym, odnoszą niesamowite sukcesy rozwojowe,

⁴ Michał Drozdek, socjolog, publicysta, działacz społeczny, założyciel i prezes Instytutu Chrześcijańsko-Demokratycznego im. Ignacego Paderewskiego, były doradca premiera Jana Olszewskiego i marszałka Macieja Płażyńskiego, główny specjalista w Najwyższej Izbie Kontroli.

⁵ Frederic Laloux, twórca koncepcji turkusowego zarządzania zaproponowanej i spopularyzowanej w 2014 roku. Wyróżnił pięć modeli zarządzania, nadając każdemu z nich symboliczny kolor i porządkując je od najbardziej autorytarnych (czerwony) do najbardziej demokratycznych (turkus).

gospodarcze, i kto wie, czy to nie jest najskuteczniejszy sposób działania. Obie strony mają rację. I tu odwołam się do autorytetu artystycznego, ale przede wszystkim filozoficznego, mianowicie w wierszu pt. Królestwo Norwid rozpatruje dwa skrajne poglądy na temat wolności. Zaczyna od razu od tego, że obydwie są nietrafne. Otóż w pewnym momencie, ostrzegając przed tzw. centryzmem, jak to się dzisiaj nazywa, mówi: „prawda nie jest przeciwieństw mikstura”. Stawiając tego rodzaju pytania, musimy sięgnąć do innej, nie liniowej metody. Słuszność, najlepszy wybór, nie skupia się zawsze na jednej ze skrajności. Nie stanowi też czegoś pośredniego w połowie drogi między skrajnościami – trochę tej, trochę tamtej skrajności. Najczęściej skutecznie rozwiązujemy dylemat, który wydaje nam się sprzecznością, w ten sposób, że stajemy wyżej i zauważamy inne wymiary problemu. Wówczas dostrzegamy, że to jest antynomia, a nie sprzeczność. „Nie niewola ni wolność są w stanie uszczęśliwić cię, nie – tyś osobą. Udziałem Twym więcej – panowanie nad wszystkim na świecie. I nad sobą” – powiada na zakończenie Norwid. Sprzeczność między niewolą a swobodą ma swe źródło w niedostrzeganiu bardzo personalistycznej prawdy, że istotna wolność, którą głosili najwięksi twórcy naszej cywilizacji: Sokrates i Chrystus, polega na „panowaniu nad sobą”. Człowiek jest systemem wewnątrzsterowalnym. Bez dostrzeżenia tego wymiaru istota sporu, odczytywana jako sprzeczność, rozgrywa się między łatwo rzucającym się w oczy zniewoleniem zewnętrznym a zniewoleniem wewnętrznym – jako jego przykład Norwid przytacza Nerona.

Myślę, że to jest jedna z największych mądrości katolickiej nauki społecznej, która kumulując doświadczenia wieków i mając nadprzyrodzone Źródło, nauczyła się spoglądać na ważne wartości w szerszej perspektywie, co pozwala jej rozwiązywać antynomie między pozornie sprzecznymi ideami, w przeciwieństwie do jednowymiarowych, reaktywnych ideologii, które widzą w nich sprzeczność i np., promując wolność, zwalczają sprawiedliwość społeczną, a troszcząc się o uniwersalizm, widzą jego



promocję w wykorzenianiu tożsamości narodowych. Takie ujęcia pozornie rozwiązują problem, z akcentem na «pozornie». Zaniedbane wartości wywołują potem reakcję ideologii przeciwnych, w tym wypadku socjalistycznych i nacjonalistycznych. Powstaje spirala nienawiści, budzącej się w naturalny sposób u rzeczników wartości przez daną ideologię pomijanych i zwalczanych. Katolicka nauka społeczna wie, że bez sprawiedliwości społecznej wolność staje się ekskluzywna, przez to na dłuższą metę niemożliwa, a bez własnej tożsamości narodowej nie pojawi się miłość do wspólnoty ogólnoludzkiej, tylko rozproszony, konsumpcyjny, egoistyczny indywidualizm i moralne zagubienie. Przykłady można mnożyć, np. zasada pomocniczości rozwiązuje pozorną sprzeczność między sztywnością silnych, bo wielkich organizmów, a dynamiką i elastycznością małych, a przez to słabych; bądź zasada partycypacji rozwiązująca pozorną sprzeczność między potrzebą państwa sprawnego, rządowego, koordynującego skutecznie różne mniejsze i większe sprawy a zaangażowaniem talentów obywatelskich, ludzkiej kreatywności, która uwalnia poczucie wpływu i podmiotowości, tworząc też probierz trafności decyzji, bo z bliska widać lepiej. Potrzebna jest zawsze odpowiednia perspektywa, dostarczana przez dojrzałą, personalistyczną, wielowymiarową koncepcję człowieka i społeczeństwa.

Dlatego, dodam na marginesie, trochę się zachnąłem, kiedy ks. prof. Grzegorz Sokołowski czytał list od ks. bp. Kupnego, z którego wynikało, że katolicka nauka społeczna nie ma odpowiedzi na wszystkie problemy. Bezpośrednio nie ma, ale ma metodę, która przewyższa wszystkie inne. Należy świadomie stosować tę metodę, przez stały wysiłek intelektualny społeczności, zarówno mniejszych, jak i większych, oraz ich lepiej przygotowanych elit.

Sztuką nie jest poznanie encyklik i stosowanie ich bezpośrednio „na chorobę” – jak aspiryny. Chodzi o to, by zawartą w encyklikach personalistyczną perspektywę i wypływające z niej uniwersalne zasady stale konfrontować z kompetentnym opisem zastanej rzeczywistości oraz

ze znakami czasu, które dziś chętniej nazywamy wyzwaniem przyszłości. Wówczas okaże się, że katolicka nauka społeczna nie tylko ma odpowiedzi na wszystkie problemy społeczne, ale także, że są one dużo trafniejsze niż te, które proponują jednowymiarowe ideologie albo rozmaici mędrcy przynoszący w skrzynce narzędziowej gotowe rozwiązania – narzędzia wypracowane w innych okolicznościach miejsca i czasu, a nie idee, które leżały u podstaw tworzenia tych narzędzi.

Wracając do reakcji Unii Europejskiej na COVID-19. Niezależnie od zasady pomocniczości – bo to jest poniekąd debata o zastosowaniu zasady pomocniczości – musimy sobie zdać sprawę, że jak trzeba walczyć z bolszewikami, wtedy trzeba centralnie szybko podejmować decyzje. Walka wymaga aktywności ciała migdałowatego, które działa intuicyjnie, szybko i sprawnie. Natomiast rozwojowi sprzyja decyzja zespołowa, dialog, naświetlenie problemu z każdej strony. Taka droga podejmowania decyzji siłą rzeczy jest wolniejsza, wymaga refleksji, narad, zastanowienia, przeanalizowania potencjalnych skutków, szukania konsensusu. Irlandia wybrała taką drogę rozwoju – drogę dialogu – i w gospodarce osiągnęła olbrzymie sukcesy. (Inną sprawą jest rozwój duchowy Irlandii, często bowiem szybkie zmiany wywołują anomie. Ale to jest ciekawy problem do oddzielnej, bardzo potrzebnej, dyskusji). Myślę, że reakcja Unii Europejskiej na COVID-19 wynikała z jej charakteru. Decyzje Unii po pierwsze mają charakter pomocniczy, jest to zapisane w traktacie z Maastricht, a wynika z całej filozofii integracji chadeckich ojców założycieli, w której zasada pomocniczości jest podstawową. Te decyzje więc nie mogły zapaść szybko. Po drugie mechanizmów działania Unii nie tworzono z myślą o walce, tak jak w dawnych imperiach. Tworzono je jako narzędzia wspólnego szukania i wspólnego budowania, rozwiązywania problemów z uszanowaniem podmiotowości, równoprawnego udziału wszystkich stron, a nie walki wewnętrznej (nawet w tak łagodnej formie, jak pertraktacje).



Kiedy pojawia się pandemia, trzeba z nią walczyć, potrzebne są decyzje związane z walką, szybkie i stanowcze. To raczej wódz dyktator Piłsudski, który słucha doradców, a nie równoprawnych partnerów, niż organizacje turkusowe, do których na zupełnie innym poziomie przecież podobna jest Unia, podkreślająca, że warunkiem wspólnoty jest pełnoprawny udział w decyzjach, podmiotowość wszystkich partnerów. Coś za coś. Albo „nic o nas bez nas”, albo decyzje szybkie i sprawne bez pytania każdego o zdanie.

Na talebowskiego „czarnego łabędzia”, czyli na coś niespodziewanego i groźnego, co miesza szyki wszystkim i rozbija dotychczasową rutynę, lepszy jest Piłsudski, natomiast na co dzień lepsze są organizacje turkusowe.

Problemem wartym debaty jest pytanie, czy tak duża i złożona instytucja może być w ten sposób zorganizowana, żeby ten wybór w istocie istniał? Czy możliwe jest przekroczenie tej sprzeczności i rozwiązanie antynomii? To wymaga bardzo poważnej dyskusji, której w tej chwili Unii Europejskiej trochę, moim zdaniem, zabrakło. Jeżeli odwołamy się do katolickiej nauki społecznej – żeby moje słowa o rozwiązywaniu problemów nie były fasadą – to trzeba zapytać o warunki, które pozwolą niezależnym państwom i stojącym za nimi wspólnotom narodowym na podjęcie takiego ryzyka, jakim byłoby, nawet w warunkach nadzwyczajnych, scedowanie na Unię prawa do podejmowania decyzji ważkich, ale niewymagających konsultacji i zgody od zbiorowych członków wspólnoty, czyli takich, jakich wymaga sytuacja walki. Zawsze szybkich, czasami radykalnych. Otóż, tak na szybko, nasuwa się jeden, zupełnie podstawowy warunek. Skoro nie spełniło się jeszcze dość utopijne marzenie niektórych proroków integracji i nie powstał dotąd dostatecznie silny patriotyzm ogólnoeuropejski, to otworzyć drogę do zgody na większe kompetencje decyzyjne unijnych instytucji może tylko realne istnienie pewnej starej jak świat wartości – zaufania. A nie trzeba być psychologiem społecznym, żeby wiedzieć, że zaufania nie buduje się siłą czy przemo-

cą – ani przemocą militarną, o której na szczęście w Unii nie ma mowy, ani ekonomiczną, o którą już dużo łatwiej, ani nawet „demokratyczną”, czyli przegłosowaniem mniejszości.

Mamy w tym kontekście pecha. Stara zasada życia plemiennego, której nauczyła nas ewolucja, podpowiada, że kiedy pojawia się zagrożenie, to zbijamy się w kupę i budzą się w nas instynkty walki bądź ucieczki, agresji i nieufności. Przystajemy myśleć perspektywicznie, skupiamy się na tym, żeby nie przegrać tu i teraz. Tak się stało w wyniku kryzysu w 2008 roku. Skutkiem kryzysu i poczucia zagrożenia bytu było nie tylko mnożenie się formacji nazywanych „populistyczno-nacjonalistycznymi”. Ale trzeba otwarcie i głośno powiedzieć, że państwa unijne, w tym należące do najbardziej wpływowego tzw. centrum unijnego, mniejszy nacisk w bieżących decyzjach gospodarczych zaczęły kłaść na wieloletnią perspektywę tworzenia „sumy dodatniej”, czyli na politykę spójności, konwergencji, solidarności prowadzących do synergii, a nieco bardziej na dbanie każdy o swoje bezpieczeństwo ekonomiczne. Często rozwój nastrojów antyunijnych w różnych krajach gospodarczo słabszych (np. we Włoszech czy Grecji) miał swe źródło nie w pierwotnych zjawiskach związanych bezpośrednio z kryzysem, ale w obserwacji wtórnej silniejszych, przenoszących solidarność do mowy pozornej, uciekających przed kryzysem każdy w swoją stronę.

Zbiegło się to z pewną konstatacją, która tu i ówdzie przebiega się w wypowiedziach ludzi wpływowych w starej Unii, którą można streścić słowami: „Spodziewaliśmy się, że oni (nowi członkowie) po przystąpieniu do Unii szybko staną się tacy jak my”. To jest myślenie trochę życzeniowo-utopijne. Obawiam się, że te elity nie bardzo rozumieją przyczyny naszej odmienności. Europa Zachodnia nie doświadczyła na własnej skórze zjawiska, jakim jest „postkolonializm”, wraz z utrwalonymi, czasem trwającymi przez wiele pokoleń „strukturami grzechu”, utrudniającymi, jak u nas, lub uniemożliwiającymi, jak na Ukrainie,



stabilny rozwój społeczny i gospodarczy. To zjawisko złożone, wymagające osobnej analizy. Na pewno jednak nie pomagają nam, próbując wymusić na nas przyjęcie na skróty takich rozwiązań, jakby tego zjawiska nie było. Jak byśmy byli narodem wolnym, bez warstw wykluczonych i wykluczających (Acemoglu i Robinson – „Dlaczego narody przegrywają”), bez grup uprzywilejowanych, dysponujących silniejszymi narzędziami wpływu niż rozproszona większość, której struktury społeczne skutecznie rozbili najpierw naziści, a potem komuniści.

W mojej ocenie czekanie na to, aż silniejsi w Unii zrozumieją swoje błędy, może okazać się czekaniem na Godota. Przyjęcie postawy zbuntowanego dziecka, które nie pozwala sobie w kaszę dmuchać, też na pewno nie jest wystarczające. Potrzebne jest, zgodne z zaleceniami Soboru Watykańskiego II, wypracowanie przez nas własnej, alternatywnej koncepcji odpowiedzi na te skomplikowane znaki czasów. Także w kontekście spójności Unii Europejskiej, która poza tym jest jednym z najlepszych pomysłów politycznych w historii świata. Oni tego nie wymyślą. Nie rozumieją, w czym rzecz, dlatego tłumaczą to sobie naszą złą wolą wynikającą z rzekomej niedojrzałości, polegającej na mentalnym przywiązaniu do braku demokracji i zacofania. To tak, jakby uciekając mercedesem, mieli nam za złe, że nie nadażamy naszą syrenką, bo rzekomo nie chcemy być postępowi. Tymczasem Polska nadal pozostaje na końcu rankingów konkurencyjności, innowacyjności, wydajności pracy, a mimo to ta syrenka nieźle gna. Ma po prostu bardzo dobrych kierowców, ale silnik – podniszczony przez komunistów – wymaga remontu. A ten remont oni uważają za łamanie praworządności.

Zwróć się bezpośrednio do ks. Grzegorza [Sokołowskięgo]. Jako polski Kościół powinniśmy przygotować bardzo poważną dyskusję na temat przyszłości Unii Europejskiej, nie okazjonalną, jak na Festiwalu. Żeby coś zmienić na lepsze, potrzebne są dwie dane. Instytucje się zużywają, to jest oczywiste dla kogoś, kto się zajmuje zarządzaniem. Żeby naprawić zużywającą się instytucje, najpierw trzeba

przygotować koncepcję. Dlatego Unia Fryburska spowodowała, że w ogóle powstała katolicka nauka społeczna. Ktoś taką koncepcję pracowicie w małym gronie przygotowawał. Dlatego też ordoliberalowie przygotowali społeczną gospodarkę rynkową, żeby wiedzieć, jak budować, kiedy władza Hitlera się skończy. Potem, kiedy była potrzebna, mieli gotową koncepcję. Robili to świadomie. Ta potrzeba, ten moment, w którym można wdrożyć wcześniej przemyślaną wizję, to „moment konstytucyjny”, jak to mówią politolodzy. Zwykle wprowadzenie zmian jest bardzo trudne. Moment konstytucyjny, czyli krótki czas, kiedy zmiany są możliwe, pojawia się, kiedy jakiś kryzys czy zawirowanie powoduje zniecierpliwienie. Ludzie są gotowi na zmiany, bo widzą, że „stare” już nie działa albo działa bardzo źle. W normalnych warunkach niechętnie przyjmujemy zmiany. Liderzy Unii Europejskiej też niechętnie podchodzą do zmian. Jedną rzeczą, którą możemy dziś zrobić, jest wypracowanie koncepcji na moment, kiedy zmiany staną się możliwe.

To nie jest mesjanizm, choć z wielką sympatią podchodzę do mesjanistów – ale mam wrażenie, że nie ma kraju w Europie, który bardziej niż Polska miałby perspektywiczne spojrzenie i rozumiał zawłość różnych problemów, z którymi Unia Europejska się boryka i które są do rozwiązania. My jesteśmy położeni w takim miejscu, że możemy z różnych stron na to spojrzeć. Możemy zrozumieć, na czym polegają nawarstwiająca się bariery rozwojowe. To obliguje nas nie do tego, żebyśmy mieli tylko pretensje do unijnego centrum, do Niemiec, Beneluksu, Francuzów, że źle postępują – to żadne rozwiązanie. My sami powinniśmy przysiąc i wypracować koncepcję jedności Unii Europejskiej. Zrobić to, co Schumann z Monnetem. Monnet miał zespół ludzi, którzy pracowali nad koncepcją Europy i w zasadzie miał ją gotową, kiedy przyszedł moment konstytucyjny. To był dobry moment, w reakcji na szok II wojny światowej, z jednej strony w Ameryce Bretton Woods, z drugiej strony Jacques Maritain z hasłem Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ, z trzeciej



skierowanie się z powrotem ludności Europy ku wartościom chrześcijańskim, wsparcie chadecji, która wzniosła dwa zasadnicze pomysły: integracji europejskiej i socjalnej gospodarki rynkowej. Te momenty są bardzo ważne. My możemy świadomą decyzją wypracować koncepcję. Nie możemy sami zmienić Unii, ale możemy poczekać, aż Pan Bóg za pomocą wirusa COVID-19 spowoduje ten moment konstytucyjny, w którym zmiany staną się możliwe. Taka dojrzała koncepcja może stać się naszą zasadniczą przewagą.

Na to zwracam uwagę: będzie moment konstytucyjny. Przy wychodzeniu z kryzysu pandemicznego nie da się tego uniknąć, każdy będzie pytał, jak dalej ułożyć sprawę. Jeżeli my nie będziemy mieli gotowej odpowiedzi w sprawie Unii, uwzględniającej specyfikę naszego regionu, to wszystko pójdzie siłą bezwładności – i to będzie klęska.

Red. Łukasz Warzecha: Dołączam do apelu, aby zacząć nad tym pracować, ale on też zahacza trochę o kolejny wątek, który chciałem za chwilę poruszyć: jakie miejsce ma nasza agenda, o ile w ogóle jakaś jest, w Unii Europejskiej. Zanim do tego wątku dojdziemy, prosiłbym o odpowiedź na pierwsze pytanie prof. Mirosława Piotrowskiego. Dorzuciłbym jeszcze do tego kwestię Komisji Europejskiej. Prof. Grosse mówił na początku o tym, jak Komisja Europejska powinna być ustosunkowana do państw członkowskich. Pamiętam taką tezę, która jeszcze za czasów Komisji Europejskiej José Manuela Barroso była bardzo popularna i chyba bardzo prawdziwa, że Komisja Europejska jest naszym najlepszym sojusznikiem w Unii Europejskiej, ale z kolei słuchając dzisiaj pani przewodniczącej von der Leyen, mam co do tego spore wątpliwości i nie wiem, czy to Komisja Europejska zmieniła swoją optykę i z jakiego powodu, czy to po prostu kwestia jej składu, czy tego, że okoliczności są dzisiaj inne, czy to my już inaczej patrzymy na sytuację i dlatego dzisiejsza Komisja Europejska nie jest naszym sojusznikiem, tak jak mogła być Komisja Barroso?

Prof. Mirosław Piotrowski⁶: Bardzo cieszę się z tak interesującego, a zarazem prowokacyjnego tematu. Mowa jest tu bowiem o braku solidarności i końcu Unii Europejskiej. Odpowiadając na pytanie dotyczące byłego szefa Komisji Europejskiej, przypomnę, że José Manuel Barroso pełnił swój urząd przez dwie kadencje, czyli przez 10 lat, i po zakończeniu urzędowania zachował się tak, że Komisja Europejska wprowadziła zakaz jego wstępu do budynku i do dzisiaj nie może tam wejść jako były przewodniczący Komisji Europejskiej. A jeśli chciałby przekroczyć próg Komisji, to tylko jako zarejestrowany lobbysta. Każdy były komisarz czy były poseł do Parlamentu Europejskiego po zakończeniu kadencji może wejść do budynku, w którym pracował, Barroso – nie. W odniesieniu do głównego zagadnienia, zacząłbym od przytoczenia wypowiedzi George’a Sorosa, który ma ogromny wpływ na funkcjonowanie Unii Europejskiej. Cztery lata temu, zaraz po brexitowym referendum, publicznie stwierdził on, iż nie ulega wątpliwości, że „konstrukcja Unii Europejskiej ma charakter wadliwy”. Mówimy o deficycie solidarności, czyli jej braku. Deficyt solidarności łączy się z pojęciem deficytu demokracji – notabene sam jestem współautorem tegoż hasła w encyklopedii politologicznej⁷. Deficyt demokracji jest tożsamy z Unią Europejską, gdyż w jej konstrukcji (wadliwej) zaburzono monteskiuszowski trójpodział władz. Od razu odpowiem też na pytanie zawarte w tytule konferencji, czy to koniec Unii Europejskiej? Otóż, moim zdaniem, deficyt demokracji lub deficyt solidarności absolutnie nie wpłynęły na rozkład Unii Europejskiej. Na rozpad Unii Europejskiej może wpłynąć tylko jeden fakt: utrata zainteresowania tym projektem przez Niemcy. Jeśli zauważycie Państwo, że np. pani kanclerz

⁶ Dr hab. Mirosław Piotrowski, prof. KUL, historyk, wykładowca akademicki, przez trzy kadencje zasiadał w Parlamencie Europejskim, założyciel i przewodniczący ugrupowania Ruch Prawdziwa Europa, kandydat na urząd prezydenta RP.

⁷ M. Piotrowski, E. Rzeczowska. *Deficyt demokracji*. W: *Encyklopedia politologii. Pojęcia, teorie, metody*. T. 1. Red. W. Sokół, M. Żmigrodzki. Warszawa 2016² s. 139-143.



Angela Merkel zaczyna mówić, iż może korzystniejszą dla Europy byłaby inna organizacja, a dotychczasowa formuła współpracy się wyczerpuje, to proszę się spodziewać, że w niedługim czasie nie będzie Unii Europejskiej. Natomiast żadne łamanie zasad, widoczne deficyty itp. nie doprowadzą, moim zdaniem, do upadku tej organizacji. Jeśli idzie o tzw. pandemię i zachowanie Unii, czyli jej najważniejszych polityków czy urzędników, to zachowała się standardowo. Mówię tutaj o reakcji na zjawisko koronawirusa, nie przesądzając, czy to jest bardzo groźne, średnio groźne czy w ogóle nie jest groźne, tak jak np. grypa sezonowa. Jeśli Pan Redaktor pyta, jak zachowała się Unia, to odpowiadam, że zachowała się immanentnie, czyli tak, jak zawsze się zachowuje w sytuacji nowej, nieznannej. Najpierw się przestraszyła, wszyscy komisarze się pozamykali w biurach lub w mieszkaniach, pan David Sassoli, przewodniczący Parlamentu Europejskiego, przyjechał wprawdzie do Strassburga (Brukseli), ale jak usłyszał, że we Włoszech, czyli w jego kraju, koronawirus szybko się rozprzestrzenił, natychmiast zamknął się w mieszkaniu i zdalnie zaczął sterować Parlamentem. Jednocześnie, chcąc ratować jego wizerunek, o którym mówił Pan Redaktor, nagle wpuścił do budynku Parlamentu Europejskiego ludzi bezdomnych, którzy spali niemal codziennie przed jego wejściem. Notabene przed moim biurem też. Unia Europejska, nie wiedząc, co robić, wzbudziła w sobie refleksje zmierzającą do standardowego pytania: jak wykorzystać ten moment, aby wzmocnić integrację europejską? Przeprowadzony proces rozumowania zmierzał do prostego wniosku – państwa się zamykają, gospodarka jest zawieszana, „oni nie mają pieniędzy, oni będą potrzebować pieniędzy, oni będą chcieli skądś wziąć te pieniądze”. Kto zaspokoi te potrzeby? Odpowiedź: Unia Europejska im da, Komisja Europejska im da. Należało zmierzyć się tylko z jednym problemem: Komisja Europejska nie ma ani jednego własnego euro. Jak więc ma dać? Odpowiedź, czyli dalszy ciąg rozumowania, była prosta. Mianowicie Komisja Europejska zaciągnie pożyczkę na

kwotę 750 mld euro w imieniu 27 krajów członkowskich i będzie ją zwracać poprzez podatki, które na nas (czyli kraje członkowskie) nałoży. I na to, niestety, zgodzili się wszyscy. Najwięcej, moim zdaniem, zapłacą Polacy, bo w tych podatkach zawarty jest nie tylko podatek od plastiku, ale od emisji gazów CO₂ itd. Zanim odejdziemy od węgla, będziemy musieli spłacać większość tych podatków, na co absolutnie nie należało się godzić. Komisja Europejska uzurpuje więc sobie prawo – po raz pierwszy, i to wbrew traktatom, także wbrew traktatowi lizbońskiemu – do tego, że zaciągnie w instytucjach finansowych pożyczki w naszym imieniu. Tak naprawę można powiedzieć, że Komisja Europejska pełni tutaj rolę „słupa”, tak po prostu finansowego słupa, gdyż jeśli będzie ona niezdolna do spłaty zaciągniętego długu, to wierzyciele przyjdą z windykacją do każdego z krajów członkowskich.

Jeszcze słowo, jeśli można, o finansach, o Niemczech i o tzw. solidarności. Mówiąc o Unii Europejskiej, trzeba sprecyzować, o jakim czasokresie mówimy. Z formalnego punktu widzenia Unia Europejska powstała w grudniu 2009 roku, kiedy to nadano jej osobowość prawną. Od tego czasu posiadamy też drugie obywatelstwo, co odzwierciedla zapis w paszportach: Unia Europejska i poniżej Rzeczpospolita Polska. Dlatego sugerowałbym rozpatrywanie kwestii w tymże czasokresie dziesięciolecia, ewentualnie cofając się do 2004 roku, kiedy Polska znalazła się w strukturach Unii Europejskiej. Pytanie więc, czy ta Unia Europejska kiedykolwiek była solidarna? Weźmy przykład Polski. Oficjalnie, przez 15 lat (2004-2019) do naszego kraju przyłynęły 163 mld euro. Formalnie my (czyli Polska) przez ten czas odprowadziliśmy 53 mld euro do budżetu Unii Europejskiej w formie składki członkowskiej. W wyniku prostego równania wychodzi, że Polska zyskała 110 mld euro. Wielu twierdzi więc, że traktujemy Unię Europejską jak bankomat, z którego więcej wypłacamy niż do niego wplacamy. Rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Pokazywane cyfry nie odzwierciedlają całego bilansu zysków i strat. Formalnie Polska płaci do budżetu



Unii Europejskiej średnio około 4,5 mld euro rocznie, a Niemcy płacą około 26 mld euro. Z formalnego punktu widzenia są więc największym płatnikiem do budżetu Unii Europejskiej. Wielka Brytania wpłacała blisko 20 mld euro, z których wracała do jej budżetu około połowa tej kwoty. Wracając do Niemiec, chciałbym państwu zacytować wypowiedź (sprzed dwóch lat) ministra spraw zagranicznych tego kraju Sigmara Gabriela, który mówił: „Nie jesteśmy płatnikiem netto, jesteśmy największym beneficjentem integracji europejskiej”. Coś tu się więc nie zgadza. Sięgnijmy zatem do wypowiedzi pani minister Elżbiety Bieńkowskiej z 9 kwietnia 2012 roku, zamieszczonej na łamach tygodnika „Wprost”. Ówczesna minister w rządzie Donalda Tuska mówiła: „Z każdego euro wpłaconego do Polski Niemcy odzyskują 86 eurocentów, a z grupy wyszehradzkiej, czyli czwórki, 125 eurocentów” – to słowa pani Bieńkowskiej. Więc jak to się ma do tych oficjalnie przedstawianych funduszy? Sądzę, że brakuje merytorycznej debaty w telewizji, w prasie, w radiu na temat całościowego bilansu zysków i strat. Jeszcze jedna sprawa z ostatniego, lipcowego szczytu Rady Europejskiej, gdzie podjęto słynne zobowiązania powiązania zasady poszanowania praworządności z wypłatą unijnych środków. W polskich mediach w ogóle nie odnotowano, że wówczas pięć krajów Unii Europejskiej, w tym Niemcy, wynegocjowały sobie rabat składki członkowskiej, co zapisano w konkluzjach ze szczytu Rady. Niemcy uzyskały rabat 3,671 mld rocznie, Holendrzy 1,921 mld, dalej Dania, Austria i Szwecja. Łącznie w skali siedmioletniego budżetu Unii to daje ponad 53 mld euro rabatu, z czego prawie połowę uzyskali Niemcy. To oznacza, że nasi zachodni sąsiedzi nie wpłacają 26 mld euro, co dotychczas stanowiło ich jedną roczną składkę członkowską. To konkretny zysk. Natomiast Polaków zmusza się do odejścia od węgla, co niewątpliwie będzie ogromną stratą. Według szacunków działaczy górniczej Solidarności, porzucając węgiel, stracimy na tym od 600 do 700 mld euro. Odpowiedzialny w Unii Europejskiej za dekarbonizację, czyli europejski

Zielony Ład, komisarz Frans Timmermans publicznie stwierdził, że na ten projekt potrzebuje 1,5 bln euro. (tj. 1 bln euro na 10 lat). To bardzo kosztowny projekt. Dla porównania cały budżet Unii Europejskiej na siedem lat to około 1 bln euro. W obliczu przytoczonych faktów, gdy kreślimy tutaj jakieś wizje, jaka ma być Unia Europejska, to czy nie należałoby zadać pytania, czy przypadkiem kluczowe decyzje dotyczące Unii Europejskiej już nie zapadły? A także, czy jest to zgodne z naszym interesem narodowym, czy nie jest on poważnie uszczuplany i dlaczego polski rząd na to wszystko się godzi?

W Polsce rząd przekonuje, że jest obrońcą polskich interesów i że nie zlikwiduje kopalń, natomiast w Unii Europejskiej godzi się na wszystko, włącznie z likwidacją całego górnictwa. Polskiego premiera zdemaskowała szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, ujawniając w wywiadzie dla włoskiego pisma, że rząd Polski zgodził się na całkowitą dekarbonizację, a premier polski potrzebował tylko czasu. Termin wyznaczył na „po wyborach”, żeby po prostu nie drażnić ludzi. I na koniec, sądzę, że nie należy szefów Komisji Europejskiej obdarzać przesadną atencją. Za niemal każdym z nich ciągną się afery. Przypomnę, że obecna szefowa Komisji Europejskiej pani von der Leyen została na szybko „wyciągnięta z kapelusza” przez Angelę Merkel. Wcześniej była ona ministrem obrony Niemiec, z którą kojarzono wiele afer, jak brak przetargów na sprzęt w wojsku itp.

Red. Łukasz Warzecha: Zanim zapytam Panów o kwestię naszej agendy w Unii, muszę zacząć kolejną rundę pytań w nawiązaniu do Pańskiej wypowiedzi, bo mamy już bardzo konkretny wniosek, czy może konkretną wątpliwość dotyczącą tego, jak w praktyce wygląda solidarność europejska. Nie są nowością tego typu wyliczenia, pokazujące ile w dłuższym okresie finansowo zyskujemy, a ile tracimy. Pewnie znaleźliby się zwolennicy naszego członkostwa, którzy by wykazywali, że to nie tak, że tutaj Pan w czymś przesadził, czegoś Pan nie wziął pod uwagę, że czynniki polityczne są ważniejsze niż wyliczenia.



Pewnie gdybyśmy mieli tutaj kogoś takiego w panelu, powstałby spór. Natomiast pojawia się takie pytanie, refleksja: w miarę jak Unia Europejska będzie próbowała poszerzać swoje kompetencje, wchodząc w sfery, które dotychczas były zarezerwowane dla państw członkowskich, a to są sfery, które w debacie publicznej wywołują ogromne poruszenie i emocje, bo zawsze kwestie światopoglądowe takie emocje wywołują, większe niż kwestie gospodarcze, to sceptycyzm naszego członkostwa będzie się zwiększał i w którymś momencie – a mam wrażenie, że to już zaczyna się dzieć – padnie całkiem poważanie pytanie ze strony osób, publicystów kiedy nadejdzie ten moment graniczny, w którym obywatele, w większości na razie popierający członkostwo w Unii Europejskiej, dojdą do wniosku, że coś tu się „nie spina”, że może rzeczywiście w którymś momencie nam się to przestaje opłacać, bo i finansowo nie wygląda to tak dobrze, i jednocześnie jesteśmy cały czas przydeptywani w różnych sprawach, które mogą zacząć utrudniać życie zwykłym ludziom. Wspomniał Pan o mechanizmie pakietu energetyczno-klimatycznego i tym wszystkim, co z niego wynika. To jest, moim zdaniem, jeden z takich zasadniczych elementów – Polska przecież zgodziła się na neutralność klimatyczną, oczywiście z zastrzeżeniem, że może to być opóźnione w naszym przypadku, ale myśmy się na to zgodzili. Nie jest prawdą, że się zupełnie z tego wymiksowaliśmy. Ukazała się nowa książka znanego duńskiego matematyka i politologa, Bjørna Lomborga False alarm. Jest to człowiek, który zasłynął kilkanaście lat temu książką The Skeptical Environmentalist, w której kwestionował pewne mity dotyczące walki z ociepleniem klimatu, tym razem w swojej książce zawiera wyliczenia dotyczące m.in. europejskiego Zielonego Ładu, wskazując na ewidentną ekonomiczną nieopłacalność tych działań, wyliczając to bardzo konkretnie, akurat w dolarach, bo książka wyszła w Stanach Zjednoczonych.

Chciałem Panów zapytać: czy będzie taki moment, a jeśli tak, to kiedy, w którym może nastąpić wahnienie pol-

skiej opinii publicznej, w którym polska opinia publiczna może dojść do wniosku, że europejska solidarność to fajne hasło, ale już w tym momencie po prostu całkowicie puste. Kiedy to może nastąpić albo może nie nastąpi w ogóle?

Prof. Tomasz Grosse: Odpowiem na to pytanie, prezentując dwa aspekty solidarności, o których częściowo tutaj dyskutowaliśmy. Pierwszy ma związek z dystrybucją środków finansowych w ramach Unii Europejskiej. Zgadzam się z tym, co prof. Piotrowski powiedział, że mamy tendencje widoczną w wielu obszarach, że ci, którzy są największy i najbardziej wpływowi – Francuzi i Niemcy – starają się tak organizować te różnego typu instrumenty, żeby przerzucać koszty na tych słabszych. Wbrew deklaracjom, że Unia Europejska ma służyć, chociażby poprzez politykę spójności, najsłabszym krajom, takim jak państwa Europy Środkowej, albo poprzez fundusz odbudowy, który miał w założeniu ratować przede wszystkim kraje z południa Europy, z południa strefy euro, i w jakimś sensie im ten zastrzyk finansowy zapewnić. Pomimo tego, że istnieją instrumenty redystrybucji finansowej dla słabszych, tym, co jest dla mnie oczywiste, jest pewna tendencja, żeby jednocześnie te instrumenty jak najbardziej ograniczać z punktu widzenia potencjalnych odbiorców. Więc w wieloletnich ramach finansowych 2021-2027 zmniejszono środki na politykę spójności w stosunku do tego, co było poprzednio. To jest pewna tendencja zmniejszania środków dla Europy Środkowej. Z kolei w ramach funduszu odbudowy, rzeczywiście największymi beneficjentami są Włochy i Hiszpania, ale jednocześnie w kategorii grantów, czyli tej najbardziej atrakcyjnej formy pomocy z funduszu, bo granty są bezzwrotne, największymi beneficjentami są Niemcy i Francja, czyli państwa najbogatsze. Jednocześnie dla wielu najbogatszych krajów, przede wszystkim Niderlandów, ale również skandynawskich, zwiększono rabaty, a Niemcy pozostają państwem z największym rabatem po ostatnim, lipcowym szczycie Unii Europejskiej. Tak czy inaczej, w aspekcie



redystrybucyjnym solidarność jest faktycznie ograniczana, szczególnie w takim klasycznym wymiarze redystrybucyjnym, natomiast najwięksi płatnicy znajdują sposoby, żeby odebrać swoją składkę.

Dlaczego Francji zależy na tym, aby polityka rolna pozostała? Bo są największym beneficjentem środków z polityki rolnej. Mechanizmy finansowe tylko od strony retorycznej, marketingowej utrzymują, że ta solidarność funkcjonuje. Natomiast praktycznie rzecz biorąc, są różnego rodzaju wyjątki, podskórne mechanizmy, które solidarność w dużym stopniu niweczą albo ograniczają.

I najlepszym dowodem w tym temacie jest to, że Niemcy zablokowały tak naprawdę instrumenty redystrybucyjne unii walutowej. Dlaczego unia walutowa ma problem? Dlaczego wymyślono fundusz odbudowy, na który mają się składać wszyscy, również państwa spoza strefy euro? Dlatego, że Niemcy nie zgadzają się na redystrybucję, która zdaniem naukowców, ekonomistów jest nieodczowna, żeby projekt unii walutowej się nie wykoleił, nie wywrócił. Niechęć Niemców do redystrybucji jest źródłem kłopotów w strefie euro, a pierwszy kryzys był rozwiązany w ten sposób, że wiele dostosowań makroekonomicznych było przerzucanych na najsłabsze państwa tej strefy. Ta solidarność w wymiarze transferów finansowych jest naprawdę iluzoryczna.

I druga rzecz, mechanizmem wymuszania solidarności np. w polityce migracyjnej jest osławiona praworządność, wymierzanie sankcji finansowych za nieprzestrzeganie wartości europejskich. To zostało wprowadzone na ostatnim szczycie Unii Europejskiej w lipcu 2020 roku. Problem z praworządnością polega na tym, że ona nie tylko jest elementem dyscyplinującym – jeśli jakieś państwo się nie zgadza na politykę energetyczną, to można zastosować sankcje finansowe, odnosząc się do wartości. Jeśli ktoś się nie zgadza na politykę migracyjną, będzie sądnicztwa, tu chodzi o cały pakiet różnych spraw, które dotyczą nieprzestrzegania wartości. Problem polega na tym, że te

wartości są interpretowane coraz bardziej skrajnie, w duchu liberalno-lewicowym. Jeżeli ktoś ma inny katalog wartości, jeżeli ma inne postrzeganie praw jednostki, np. praw kobiet, czy mają one prawo do aborcji, to może mieć problemy. W raporcie na temat praworządności, który Parlament Europejski przyjął jesienią 2020 roku, jeden z zarzutów dotyczył tego, że Polska łamie prawa kobiet, ponieważ dopuszcza do dyskusji na temat zaostrzenia prawa aborcyjnego. Takie zamiary są bardzo niesympatycznym sygnałem dla elit lewicowo-liberalnych w Parlamencie Europejskim i to już potencjalnie może podlegać pod mechanizm dyscyplinujący. Jeżeli ks. abp. Gądecki mówił o prawie naturalnym, to praworządność w wydaniu elit Parlamentu Europejskiego łamie tego typu logikę, wprowadzając inną interpretację wartości jako tych, które są nadrzędne dla państw członkowskich. To jest ten element zmian w Unii Europejskiej, który wydaje mi się być szalenie ryzykowny.

Jeżeli Polacy zorientują się że Unia Europejska przestaje być skarbonką, z której dostają pieniądze, że przestajemy „wyciskać” tę przysłowiową „brukselkę”, to może nastąpić rozczarowanie. Drugi element rozczarowania Unią Europejską jest związany z narzucaniem w sposób siłowy pewnej interpretacji solidarności europejskiej – bardzo skrajnej, bardzo wąsko rozumianej. Z tym wiąże się interpretacja wartości, która w pewnych wymiarach łamie prawo naturalne, do którego przywiązana jest duża część społeczeństwa w Polsce. To mogą być te dwa momenty, które zniechęcą najpierw elity polityczne, ale później dużą część ich elektoratu do projektu europejskiego.

Red. Lukasz Warzecha: Dla uzupełnienia przypomnę tylko, jak brzmi artykuł 2 o Unii Europejskiej, który jest podstawą wszystkich tego typu działań. Brzmi on tak: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wartości te są wspólne Państwom Członkowskim w społeczeństwie



opartym na pluralizmie, niedyskryminacji, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności oraz na równości kobiet i mężczyzn”. To jest tak ogólne sformułowanie, że w zasadzie można pod nie podłączyć wszystko i o każdym z pojęć użytych w tym artykule dyskutować, np. jak rozumiemy tolerancję. To jest bardzo wygodny instrument dla tych, którzy mają go w rękach, którzy są w stanie go używać. Kontynuujemy wątek pytania o ewentualne zniechęcenie się Polaków, polskich elit politycznych do Unii Europejskiej na podstawie tego, jak wygląda analiza solidarności unijnej.

Michał Drozdek: Pewnego mnicha tybetańskiego zapytał uczeń: „Mistrzu, ja długo mamy czekać aż na świecie będzie lepiej? Ten mu odpowiedział: Jeżeli będziemy czekać – to długo”. Chciałem zapytać Państwa, czy ktoś wie, co uczyniła Unia Europejska, żeby przekonać Anglików, że nie jest taka zła, że warto w niej pozostać? I nie mówię tu o warstwie propagandowej, tylko o czynach. Czy Anglicy coś dostali? Czy ktoś zna jakąś realną propozycję od Unii Europejskiej, żeby jednak mimo nastrojów brexitowych zostać?

Red. Łukasz Warzecha: Mogę wspomnieć, że wręcz przeciwnie. Pamiętam sytuację z 2015 roku z listem Davida Camerona, w którym przedstawił on w bardzo spójny sposób warunki, na jakich Wielka Brytania mogłaby pozostać w Unii Europejskiej. Działo się to jeszcze przed referendum. Odpowiedź ze strony Donalda Tuska, ówczesnego przewodniczącego Rady Europejskiej, była taka: „David nie wygłupiaj się, o co ci w ogóle chodzi, jakie postulaty, to my tu jesteśmy najmocniejsi, nie będziemy się uginać”.

Michał Drozdek: W związku z tym można przeprowadzić logiczną zależność, że skoro Unia Europejska nie zrobiła żadnego kroku w kierunku przekonania Anglików, że warto zostać, to znaczy że nie była zainteresowana tym, żeby zostali.

Mam też drugie pytanie, dużo trudniejsze: co zrobiła Polska żeby zachować Anglików w Unii Europejskiej,

żeby przekonać ich, aby pozostali? Niedawno słyszałem płomienne przemówienie człowieka, który być może w obozie zbliżonym do władzy zna się na tym najlepiej, pana ministra Saryusz-Wolskiego, który uzasadniał, jak bardzo zła jest dla Polski informacja, że Wielka Brytania wychodzi z Unii Europejskiej. Teoretycznie odpowiedź na moje pytanie powinna być pozytywna. Co zrobiła Polska, aby zachować Wielką Brytanię w Unii Europejskiej? Otóż tutaj już nie zadziałało logiczne myślenie. Tu zadziałało coś innego i przepraszam, że będę bardzo brutalny, ks. Tischner nazwał to *homo sovieticus*, jest to taka postawa nabyta, która polega na przekonaniu, że od nas nic nie zależy. My sobie możemy ponarzekać na innych, możemy wejść, możemy wyjść, ale to nie my współtworzymy rzeczywistość. I tu jest odpowiedź. Jeżeli będziemy czekali, to prędzej czy później będziemy musieli wyjść z Unii Europejskiej. Możemy pozostać w Unii Europejskiej, jeśli założymy, zgodnie z ideą Unii Europejskiej, że jesteśmy partnerem, że to nie jest klub gentlemanów, do którego wstąpiliśmy kiedyś i musimy przyjąć jego reguły, bo jeśli nie, to albo nas wyrzucą, albo sami odjedziemy, bo będziemy się tam źle czuli. Trzeba tak działać, jak byśmy przyjęli do wiadomości, że to jest partnerstwo, wspólnota w dobrym, prawdziwym rozumieniu tych słów.

Kiedy Robert Schuman ogłosił 9 maja 1950 roku swoje orędzie o potrzebie jednoczenia Europy, w październiku tegoż roku powołano złożony z sześciu państw, które tworzyły potem wspólnotę Węgla i Stali, zespół negocjacyjny. Na jego czele stanął Jean Monnet. Kiedyś na posiedzenie tego zespołu przyszedł Schuman, posłuchał i powiedział: „Proszę państwa, ja widzę że tu się nie odbywają negocjacje, tylko wspólne poszukiwania”. Ten motyw wspólnego poszukiwania stał się przewodni. Dziennikarze natychmiast to podchwycili i przez długi czas to było hasło przewodnie działań na rzecz integracji Europy. Tymczasem obecnie jest tak, że jeden uważa, że ma rację, a reszta powinna się do tego dostosować, inni natomiast szukają pól do negocjacji. Nie ma tego wspólnego poszukiwania.



O to pole trzeba walczyć. Nie tylko mieć koncepcję, jak to pole zbudować, ale także, jak o nie skutecznie zawalczyć. I myślę, że zarówno Jean Monnet, jak i Robert Schumann, niekwestionowani twórcy intelektualni programu integracji, ale też Alcide De Gasperi, Konrad Adenauer i generał Władysław Sikorski, to są ludzie, którzy mogą być naszymi bardzo mocnymi sojusznikami w takiej debacie.

Słusznie prof. Krysiak przypomina nam cierpliwie Roberta Schumanna. Jego koncepcja wspólnoty wynikająca z myśli chrześcijańskiej, która była tak trudna do przyjęcia, nie jest na żadnym końcu przeciwstawnej linii między indywidualizmem a kolektywizmem. Przekracza ona zarówno indywidualizm, jak i kolektywizm. Wspólnota zakłada i pełny indywidualizm, bo czym pełniejszy indywidualizm tym wspólnota jest bardziej możliwa, i pełny kolektywizm, bo bez owego personalistycznego podkreślenia znaczenia we wspólnocie każdego indywidualnego członka, każdy kolektyw jest fikcją, bo członkowie koncentrują się w istocie na własnych celach, a solidarność jest tylko hasłem. Dlatego Schumann uważał, że wspólnota nie jest sprzeczna z nacjonalizmem. Nacjonalizm jest pewnym etapem rozwoju, kiedy społeczeństwa muszą nabrać siły, stać się wewnętrzną wspólnotą, stać się podmiotem, zbudować swoje instytucje, swoją tożsamość. Wtedy będą mogły poważnie wchodzić w relacje z innymi narodami. Wspólnota polega na tym, że mamy rzeczy, które nas łączą, a każdy pozostaje wolnym człowiekiem albo wolnym, decydującym o swoich sprawach narodem. To była idea wspólnoty Roberta Schumanna, bardzo mocno zakorzeniona w historii katolickiej nauki społecznej, w personalistycznym rozumieniu człowieka i społeczeństwa, różna od ideologicznych kolektywizmów XIX-wiecznych i sięgających nawet XVIII wieku indywidualizmów, które są uproszczeniem, widzeniem tylko jednego fragmentu natury człowieka, a nie natury, która jest złożona i wielowymiarowa.

Sam fakt istnienia idei takiej wspólnoty polega na poszerzeniu pola tożsamości – człowiek poszerza, przenosi

własną tożsamość na rodzinę, potem naród. Potem na kolejną wspólnotę, choć już nie w takim silnym stopniu jak naród. Tutaj też Schumann był realistą i my wszyscy jako Polacy doskonale to rozumiemy. Schumann jest bardzo bliski naszemu myśleniu, że naród jest w Europie tak silną i ważną kulturowo, historycznie, przede wszystkim tożsamościowo wspólnotą, że nie da się zbudować czegoś, co będzie ponad narodami, ponad ich interesem, ale można zbudować wspólnotę narodów. A wspólnota nie jest ponad narodami, ona jest przez narody, łączy a nie dzieli.

Jean Monnet opowiadał o swoich doświadczeniach, o tym, że kiedy ludzi należących do różnych grup i myślących o swoich egoizmach grupowych zgromadzi się nad wspólnym problemem, to łatwo zaczynają myśleć wspólnie o wspólnym problemie, tworząc w istocie wspólnotę ponad podziałami. On to mówił zaraz po II wojnie światowej, a wiele lat później powstały podręczniki psychologii społecznej, które pokazują na bardzo wielu przykładach empirycznych i praktycznych, że rzeczywiście tak to działa. Nawet jeśli mamy grupę ludzi skłóconych, kiedy dostaną wspólne zadanie, to stają się elementem wspólnoty, pojawia się wspólna tożsamość i cel, pojawia się synergia, której brakuje teraz w Unii Europejskiej.

Jeżeli chcemy przeprowadzić własny pomysł na przyszłość Unii Europejskiej, to musimy bardzo uważnie zbadać zjawisko, jakim jest zużycie instytucji, bo Unia Europejska przechodzi właśnie taki kryzys. Polega to na odejściu od ideałów pionierskich i prowadzi do rozkładu. A jak wiadomo, jeżeli instytucje się zużywają, to są też mechanizmy, żeby je odnawiać i o tych mechanizmach warto rozmawiać. Najważniejszy jest powrót do ideałów pionierskich i w ich kontekście rozeznanie współczesnych wyzwań, także w perspektywie tych, które niesie przyszłość. Jeżeli narzędzia i ucierające się obyczaje nie przylegają, to trzeba je zmienić. I tyle.

Red. Łukasz Warzecha: Panie Profesorze, jak to jest, Pańskim zdaniem, z perspektywą rozczarowania głębokiego Unią Europejską i jak wygląda europejska



solidarność? Kiedy Pana zdaniem to rozczarowanie może nastąpić? A może nie nastąpi? Może Polacy są tak euroentuzjastyczni, że pewnych aspektów nie będą uparcie dostrzegali?

Prof. Mirosław Piotrowski: Odnośnie do Roberta Schumanna, około 15 lat temu znany włoski profesor Rocco Buttiglione, którego kandydaturę na komisarza Unii Europejskiej utracono, powiedział, że wspomniany Schumann (ojciec założyciel Unii Europejskiej) nie mógłby być komisarzem w Unii Europejskiej, gdyż nie spełnia obecnych kryteriów i podobnie jak on byłby wyeliminowany. Przechodząc do odpowiedzi na pytanie, ja jestem przeciwnikiem indoktrynowania ludzi w jedną czy drugą stronę, czyli zachęcania do wyjścia lub pozostania w Unii Europejskiej. Jestem zwolennikiem przedstawiania rzeczywistego stanu Unii Europejskiej, czyli tego, o czym mówił pan profesor Grosse. Pani Ursula von der Leyen, ale wcześniej i Jean-Claud Juncker, Jose Manuel Barroso kreślili swoje wizje Unii Europejskiej, lecz obecnie niewielu pamięta ogłaszane punkty (postulaty) Junckera dotyczące naprawy Unii Europejskiej. Opowiadam się za ukazywaniem, jak naprawdę funkcjonuje Unia Europejska. Pan prof. Grosse analizował raporty dotyczący Polski i zgadzam się z tą argumentacją. Sądzę, że ludzie w Polsce nie mają świadomości, że w PE, bez względu na przedstawianą przez europosłów argumentację i wyjaśnienia, już wcześniej, przed rozpoczęciem debaty wszyscy europosłowie mają sporządzone gotowe listy do głosowania. Już przed debatą jej wynik jest przesądzony. Bez względu na to, co kto powie, głośno, cicho, użyje takich czy innych argumentów i tak żaden europoseł nie zmieni swojego sposobu głosowania. Decyduje tu ustalony mechanizm.

A propos wspomnianej rezolucji dotyczącej Polski, to kilka dni temu nagrałem felieton, radząc, w jaki sposób skutecznie ją zablokować. Krok po kroku pokazałem koleżankom i kolegom, jak technicznie należy to zrobić. Ta rezolucja była do zablokowania. Dla porównania przypomniałem, jak przed laty osobiście przyczyniłem

się do zablokowania antyhiszpańskiej rezolucji. Przypomniałem, że poprosił mnie wtedy szef grupy Hiszpanów w EPP, major Oreja, który wcześniej był ministrem spraw wewnętrznych Hiszpanii. Sprawozdawcą rzeczonyj rezolucji w Parlamencie Europejskim był Polak. Udało mi się nie tylko doprowadzić do jej zablokowania, ale nawet namówić sprawozdawcę, by zagłosował przeciw własnej rezolucji. Pokazałem więc koleżankom i kolegom, jak skutecznie działać, apelując: ruszcie się, to jest do zrobienia! Pan Redaktor cytował tu artykuł 2, w którym zapisana jest ochrona mniejszości. W Hiszpanii mamy mniejszość katalońską, która jest w tej chwili prześladowana, na uchodźstwie jest trzech liderów katalońskich, którzy są posłami do PE, a w Hiszpanii grozi im więzienie. Szefem wspomnianego raportu był Juan Fernando López Aguilar i to on kroił rezolucje na okoliczność naruszania prawa w Polsce, a nie w Hiszpanii. Znając osobiście Aguilar'a, podpowiadam dokładnie, krok po kroku, jak to zrobić. Rezolucja była technicznie do zablokowania i to bez wchodzenia w argumentacyjne niuanse. Zgadzam się oczywiście, że argumentacja w Parlamencie Europejskim absolutnie na nikim nie robi żadnego wrażenia. Odwrotnie niż w poszczególnych krajach członkowskich. Pokazując, co się dzieje w Unii Europejskiej, Nigel Farage wyprowadził Wielką Brytanię z tej organizacji.

Przypomnę, że wspomniany Farage najpierw był członkiem partii konserwatywnej, później z niej odszedł, założył własną partię UKIP, następnie partię Brexit. Przez wiele lat naciskał na władze Wielkiej Brytanii, konkretnie na premiera Davida Camerona, wymuszając na nim referendum brexitowe. Sam Cameron był „szczerym Europejczykiem”, nie chciał tego referendum. Był politycznym przyjacielem kanclerz Angeli Merkel. Słowa, które padały o Cameronie, były na pokaz, wymuszone przed kamerami. On – podkreślam – tego referendum nie chciał, obawiał się, że zostanie przegrane. Jeśli już mowa o Brytyjczykach, uważam, że nie należy jeździć do innego kraju i wpływać na decyzje jego obywateli. Przykładowo Brytyjczyk Nigel Farage i jego



grupa byli przeciw pozostaniu Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. W tym samym czasie byłem w Parlamencie Europejskim w jednej grupie politycznej z 21 brytyjskimi konserwatystami. W sprawie wyjścia z Unii Europejskiej byli podzieleni, 14 było za pozostaniem, a 7 za wyjściem. Nasuwa się pytanie, dlaczego my mielibyśmy opowiadać się po którejs z stron? To by tylko zaszkodziło, zepsuło stosunki. Pan Donald Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej pojechał do Wielkiej Brytanii agitować, żeby Brytyjczycy głosowali za pozostaniem w Unii Europejskiej i wiemy, jak się to skończyło. Niech oni sami decydują, biorą odpowiedzialność za podziały wewnątrz kraju. Wielka Brytania w stosunku do Unii Europejskiej zachowywała się zawsze dość protekcyjnie, podkreślając, że „Wielka Brytania jest wielka”. Przypomnijmy sobie, jak długo trzeba było czekać na decyzje Parlamentu Brytyjskiego w sprawie warunków wyjścia. Miesiącami. Odbyło się kilkanaście głosowań i czy ktoś nad Tamizą przejmował się tym, że Niemcy, Francuzi, Polacy czekają? Oni to mieli w głębokim poważaniu. To, co jest dobre dla Wielkiej Brytanii, jest dobre dla wszystkich. Dlatego my też powinniśmy myśleć przede wszystkim o naszym kraju, co nam się opłaca, i przedstawiać jako dobre dla ogółu. Obecnie nie mamy żadnego wpływu na Unię Europejską, jedyne, co możemy skutecznie robić, to stosować weto na Radzie Europejskiej, blokując niekorzystne decyzje. Jeśli się godzimy, to już dalej płynie. Zasada podwójnej większości zagwarantowana w traktacie lizbońskim sprawia, że jesteśmy na Radzie Unii Europejskiej przegłosowywani. Jest jeden moment, kiedy możemy wprowadzić temat na agendę – kiedy sprawujemy prezydencję Rady Unii Europejskiej. Każdy kraj przejmujący na sześć miesięcy tę agendę, formułuje 20 czy 30 postulatów, przeróżnych, np. że przez sześć miesięcy spowodują, że lodowce przestaną topnieć itd. Ale rozsądni przywódcy krajów w te 30 punktów wpisują jeden istotny dla siebie akapit, jak np. Węgrzy, w trakcie własnej prezydencji wpisali specjalną strategię Unii Europejskiej dla Dunaju. I my nad tym

głosowaliśmy, i dodatkowe pieniądze popłynęły na Dunaj, a Polska akurat nie leży nad Dunajem. Gdy Polska sprawowała prezydencję w Radzie, to premier Donald Tusk, w przeciwieństwie do premiera Węgier, nie wprowadził żadnego korzystnego dla Polski punktu. Mogliśmy dyskutować np. o wyrównaniu dopłat dla rolników. Jak się później okazało, Niemcy byli mu za to bardzo wdzięczni i został świetnie opłacanym szefem Rady Europejskiej. O planowanej europejskiej nominacji Tuska wiedziałem wiele wcześniej, gdyż mój niemiecki kolega przyjaźnił się z Angelą Merkel i przekazał mi ustalenia. Warunkiem miało być przedstawienie przez Tuska zobowiązań wobec Niemiec. Więc jak przedstawił, to i został. Podkreślam raz jeszcze – w Unii Europejskiej decydują Niemcy. W tej chwili zawiązała się taka niepisana koalicja „Ursula” – kto jest przeciwko Ursuli von der Leyen, jest eliminowany z realnej polityki. Przypomnijcie sobie Państwo wicepremiera Matteo Salvini, który sprzeciwiał się imigrantom, był taką prawicową, polityczną gwiazdą. Gdzie on teraz jest? Zniknął, bo jego europosłowie zagłosowali w Parlamencie Europejskim przeciwko kandydaturze pani Ursuli von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej. Pani Ursula wygrała ośmioma głosami i pragnę przypomnieć, że wszyscy europosłowie wybrani w Polsce (bez względu na partię polityczną) oddali na nią głos. Robert Biedroń, Leszek Miller, Beata Szydło, Patryk Jaki i inni – wszyscy byli za. A pani Ursula von der Leyen wcześniej przedstawiła swój program. Jego punkt pierwszy to European Gender Strategy (czyli Europejska Strategia Gender), a drugi Europejski Zielony Ład. Wszyscy Polacy głosowali „za”. Nikt się nie wstrzymał, nikt nie był przeciw. Przypominam to i poddaję pod rozwagę.

Michał Drozdek: Zauważyłem pewien wątek polemiczny w wypowiedzi Profesora, jeśli chodzi o Wielką Brytanię. Pytając o to, co Polacy zrobili, aby zatrzymać Anglików, nie myślałem o namawianiu ich, propagowaniu. To są gentelmani, wielka kultura polityczna, setki lat debaty, ich przekonać propagandą się nie da. Trzeba ich przekonać



faktami, np. propozycją, że zmienimy Unię Europejską tak, żeby lepiej się w niej czuli. Gdyby takie słowa padły ze strony Unii Europejskiej, to ja bym rozumiał. Podejmijmy dyskusję, jak zmienić Unię Europejską. Polska mogła jedynie to zaproponować, bo jak słusznie Pan zauważył, nie ma wpływu na agendę.

Jeżeli widzimy, że Unia Europejska źle funkcjonuje, to musimy sobie zadawać pytania, jak ją zmienić, naprawić, a nie jak z niej wyjść. Musimy postawić sobie pytania, jak wypracować strategię pozwalającą nam mieć realny wpływ na agendę, należący nam się z tego powodu, że jesteśmy partnerami. Nic nie zbuduje ten, który tylko walczy albo ucieka. Człowiek wolny koncentruje się na skutecznej realizacji własnych celów, a nie na uleganiu lub walce z wrogiem, przeciwnikiem, konkurentem, kimś, kto chce nad nim panować. To samo dotyczy wolnego narodu.

Red. Łukasz Warzecha: Mogę powiedzieć, że na kilka tygodni przed referendum brytyjskim byłem na dużej debacie, na której był również minister Szymański, jeszcze nie jako minister konstytucyjny. Była to konferencja polsko-brytyjska o tym, jaka ma być wspólna polsko-brytyjska agenda w Unii Europejskiej. Parę tygodni później było już po wszystkim, a rezultaty tej konferencji mogliśmy sobie najwyżej przeczytać na zasadzie wspomnień o tym, jakie to piękne pomysły wymyślano.

Prof. Mirosław Piotrowski: Nasz głos, niestety, bardzo łatwo uzyskać – pani von der Leyen przeszła zaledwie ośmioma głosami, potrzebowała więc polskich głosów, trzeba było być twardym i trzeba było po prostu ją zaszantażować. Tak postąpiliśmy 15 lat temu, gdy panu Barroso również brakowało głosów. Wówczas przyszedł do naszej grupy i nas o to prosił. Postawiliśmy warunek, że jeśli udostępni nam wykaz komitetów roboczych, który był tajny, to zgłoszujemy za jego kandydaturą. Jeden dzień przed głosowaniem przekazał ten wykaz. Były to 3094 komitety robocze. W Unii Europejskiej toczy się twarda gra, nie ma sentymentów, zarówno wówczas, jak i teraz trzeba było szantażować.

Michał Drozdek: Krótkie podsumowanie. Istnieje w naszej historii stosunków międzynarodowych, niemalże u podstaw, taka postać jak Paweł Włodkowic. Otóż pojechał on do Konstancji, gdzie się odbywał Sobór i przekonał całą Europę, że to my mamy rację, a nie Krzyżacy. Nie przekonał Europy, narzekając na Krzyżaków, że nas krzywdzą. Pokazał za to, jak Krzyżacy niszczą wspólne wartości europejskie. Wtedy można było odwołać się do Ewangelii. Zdawało się, że Schumann zachowa tę dobrą tradycję odwoływania się do Ewangelii, w tej chwili jest to dużo trudniejsze ze względu na zmiany światopoglądowe w Europie. Ale z tego powinniśmy wyciągnąć wniosek, że nasza gra dyplomatyczna powinna odwoływać się do wartości wspólnych, do tego, co robili pionierzy, do korzeni, do idei europejskich, przedefiniowywać współczesną debatę.

Zorganizowałem półtora roku temu konferencję pt. Polskie źródła wartości europejskich po to, żebyśmy pokazali Europie, na czym jej właściwe źródła wartości polegają, bo to jest dowolnie definiowane. To jest ważny element, na który można się potem powoływać. Strategia polegająca na tym, że my się wyłącznie o coś upominamy, walczymy o nasze interesy i tupiemy nóżkami, nie buduje wspólnoty i jest źle rozumiana. Skuteczne natomiast może być pokazanie: to wy niszczycie to, co stanowi Unię Europejską i bardzo łatwo to udowodnić! Przykładowo Europa dwóch prędkości to koncepcja, która niszczy myśl Schumanna, niszczy wizję, która leżała u postaw Unii Europejskiej i w ogóle procesu jednoczenia Europy, niszczy budowanie Europy w oparciu o rozwój. Łatwo jest to wykazać, a my się do tego nie odwołujemy. Tylko krzyczymy, że jesteśmy krzywdzeni, bo oni mają więcej, a my mamy mniej, nie szanują nas, nie odpuszczają itd. Siła powojennego pomysłu na integrację europejską tkwiła we wspólnych, humanistycznych ideach wspólnotowych, przekraczających egoizmy narodowe – choć na idei narodowej oparłych, których źródłem była wówczas jeszcze żywa myśl chrześcijańsko-demokratyczna. Odwołanie się do tych idei może dać nam przewagę moralną, której dziś nasi



unijni partnerzy chcą nas pozbawić. A taka przewaga na prawdę ma znaczenie.

Proponuję poczytać mistrza Włodkowica i nauczyć się skutecznej dyplomacji.

Prof. Tomasz Grosse: Najważniejsze z punktu widzenia naszej rozmowy jest coś, co w kilku wypowiedziach usłyszałem: Unia Europejska coraz bardziej zmierza w kierunku centralizacji zarządzania, to po pierwsze, a po drugie w kierunku ideologizacji w znaczeniu liberalno-lewicowym. Instrumentem egzekwowania dyscypliny zarówno na płaszczyźnie zarządzania poszczególnymi politykami europejskimi, jak i ideologicznej jest odgórnie narzucana solidarność między państwami członkowskimi. W taki sposób wymaga się solidarności od państw, które są słabsze politycznie. Jednocześnie egzekwowana jest wspólna linia na płaszczyźnie ideologicznej, na płaszczyźnie wartości, czego syntezą jest tzw. praworzadność.

Pytanie, jakie w świetle naszych rozważań należy postawić brzmi: co my możemy zrobić? Czy mamy wyłącznie czekać na ten Polesxit, czy jeszcze raz powinniśmy podjąć wysiłek, żeby coś w tej Unii Europejskiej zmienić? Pan Michał Drozdek ma jak najbardziej rację, że nie wolno tracić nadziei, że być może jest za wcześnie, aby uznać, że ta batalia jest przegrana. Jednak realizm i obserwacja tego, co się aktualnie dzieje, pokazuje, że z czasem ta nadzieja może okazać się płonna. Batalia o naszą wizję Unii Europejskiej, która by nas, chrześcijan przywiązanych do nauki społecznej kościoła, nie wyrzucała poza Unię Europejską, jest coraz trudniejsza. Niemniej nie traćmy nadziei. Polski rząd, o konserwatywnym podejściu do wartości, powinien mieć więcej odwagi. Powinien odrobić swoją lekcję. Jeśli chcemy o coś zawalczyć, to nie powinniśmy być pasywni. Musimy przypominać o traktatach europejskich, które gwarantują nam prawo do własnych wyborów ideowych w sferze publicznej, do podmiotowości narodowej demokracji w odniesieniu do wartości politycznych. Miejmy nadzieję, że nie jest za późno, aby bronić subsydiarnej wizji Unii Europejskiej.